

A. S. Antoni Figurski.

1899 listopad

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

ANTONIO FOGAZZARO.

jako poeta, powieściopisarz i myśliciel.

„Celem światów szlachetnienie“.

Krasiński.

Poeta i skała.

POETA.

O, skała, co ukośnie przecinasz niebiosa,
Powiedz, czemu się wznosisz dumna, pogardliwa?
U stóp twych na zielonym stoku błyszczy rosa,
Buja winna latorośl, srebrzy się oliwa,
Czemu nie spojrzysz w dół, skała,
W jezior lombardzkich błękitne odměty,
Które migocą w słońcu, jak dyamenty,
I marszczą fale, jak modrą zasłonę
Uśmiechnięte, rozjaśnione?.....

SKAŁA.

Cóż mię obchodzi to zielone wzgórze?
Co mi po jezior głębokim lazurze?
Szara oliwka, zielona winnica
Ani mię nęci, ani zachwyca.
Nie! Ja spoglądam wysoko, ku górze,
Na śnieżne szczyty, co płoną w purpurze,

17*

http://rcin.org.pl 24.053



Blaskami zorzy jeszcze ozłocone,
Gdy ja się w cieniu wieczornym zanurzę
I pragnę być, jak one!

POETA.

Kocham cię, skało!

SKAŁA.

Wznies mię, jeśli zdołasz!

W te słowa przemawia Antonio Fogazzaro do mistycznej skały, z którą go łączy niejedno podobieństwo. Lecz on, mimo zapatrzenia w szczyty ideału, nie gardzi urokami ziemi, ani brylantowemi iskierkami dowcipu. Te iskierki i to żywe poczucie wszelkiego piękna nadają wiele uroku wszystkiemu, co napisał, czy to wierszem, czy prozą. Zwłaszcza jednak i nadewszystko cała jego twórczość jest przeniknięta głębokim, szczerym i rzetelnym idealizmem.

Prof. Maryan Zdziechowski w swym odczycie o *Młodej Polsce* stawia idealizm Fogazzara za wzór, do którego dążyć by powinni wszyscy młodzi poeci. Sam zaś Fogazzaro, któremu znane są dzieła wszystkich znakomitych filozofów i poetów świata, do najulubieńszych między nimi liczy Mickiewicza, którego poezye zachwyciły go jeszcze za młodych lat, a zachwyt ten przetrwał do dziś dnia. Bo też poglądy jego na sztukę i estetykę, sposób pojmowania ideałów poezyi i zadania poety, niejednokrotnie przypominają ideały i zapatrywania Mickiewicza.

Jeżeli nie z innych przyczyn, to choćby i dlatego warto przyjrzeć się bliżej twórczości włoskiego poety i myśliciela.

Urodzony r. 1842 w Vicenzy, Fogazzaro należy do starszej generacyi i posiada tę szczerą uczuć, ten zapał wiecznie młody, którego braknie wszystkim prawie z dzisiejszego pokolenia. Pisze on to, co czuje i tak, jak czuje. „Wszystko, co w życiu napisałem—powiada też sam o sobie—jest przeziąknięte krwią serdeczną. Do głębi bowiem mego serca przeniknęły prawdy tak wzniosłe, iż poświęciwszy im pracę całego życia, mogę z dumą powiedzieć, że wobec nich tylko nieużytecznym sługą. Czuję obowiązek dawania świadectwa prawdzie nieskończonej i wyrażam przekonania mej duszy,

choćbym miał pozostać głosem wołającym na puszczy. Lecz ja potrzebuję nie tylko kochać, ale i cierpieć za to, co kocham; wtedy dopiero czuję całą moją godność człowieczą“....

To zaś, co raz się stało przedmiotem jego miłości, zamierza już kochać przez wieczność całą. *Usque dum vivam et ultra* — to dewiza, którą się spotyka na karcie tytułowej każdej książki Fogazzara; to jest treść wszystkich jego przekonań i zasada całej jego filozofii. Lubi on cele i marzenia abstrakcyjne, lubi się pogrążyć w oderwanych dumaniach; najchętniej też przebywa w samotnym zamku, położonym wśród otoczonej skałami doliny Valsoldy (w okolicy jezior północno-włoskich). Tutaj, w wąwozie skalistym, tak ciasnym, że wygląda prawie jak krużganek klasztorny, w klasztornej odosobnieniu od świata, pędzi życie pustelnika, rozmyśla nad kwestyami filozoficznymi i pisze. A w każdej jego powieści, w każdym nawet ulotnym poemaciku znajdujemy odbicie tych krajobrazów nawpół włoskich, nawpół alpejskich, w duszy każdego bohatera odbicie własnej jego tęsknoty do tych skał, wąwozów i cichego jeziora. Ztąd może pochodzi skłonność jego do zadumań mistycznych. Ale w przeciwieństwie do wielu pokrewnych sobie umysłów marzycielskich, nie zasklepia się w sobie i nie pisze dla dogodzenia własnej tylko fantazyi. Nie, według jego przekonania, talent to łaska Opatrzności, której należy używać, aby spełnić jak najlepiej swe powołanie tu na ziemi; do tego powinien dążyć każdy wedle sił i możliwości. „Najdrobniejszy nawet kielek w przyrodzie niema prawa powiedzieć: ja nie wydam z siebie źdźbła trawy, bo nie jestem palmą ani różą, bo życie moje trwa tylko chwilę. Istnieje bowiem prawo i obowiązek dla źdźbła trawy, zarówno jak dla róży i palmy, obowiązek dawania świadectwa życiu. Podobnie dla najmniejszych umysłów, zarówno jak dla potężnych, istnieje prawo i obowiązek, aby dawały świadectwo prawdzie“....

Dawać świadectwo prawdzie! Oto hasło całej twórczości Fogazzara. Ale bieda właśnie w tem, że największe i najgłębsze prawdy są zarazem najpospolitsze, one bowiem stanowią treść wszystkich komunalów; niema więc rzeczy trudniejszej, jak znaleźć dla nich wyraz godny ich wielkości. Dlatego może tylu poetów i artystów błąka się po krainach ideału, szuka-

jąc przedewszystkiem „nowych nieodkrytych dróg“, a unikając „prawdy jasnego promienia“, bo to stare, jak świat. Ale Fogazzaro jest jedną z tych istotnie wielkich dusz, które w odwiecznej prawdzie widzą coraz nowe blaski i występuje on w jej obronie, jak rycerz *sans peur et sans reproche*. I walczy sam jeden. Stawiają go wprawdzie na czele włoskich neo-mistyków, ale niewiele ma z nimi wspólnego, posiada to właśnie, czego im najwięcej brakuje: zapal dla swoich wierzeń i niezmierną siłę polotu. Tą siłą, tym zapalem porywa i unosi z sobą czytelnika, który bodaj na chwilę musi się przejąć jego uniesieniem.

Chociaż Fogazzaro stał się głośnym przeważnie jako powieściopisarz, powieści stanowią tylko część i to nie najważniejszą jego twórczości. Skarby głębokich myśli, perły poezyi, brylanciuki dowcipu kryją się w jego utworach wierszowanych i rozprawach filozoficznych.

Poezye jego są treści przeważnie lirycznej. Forma ich wdzięczna, wykwintna, do czego oczywiście się przyczynia nieporównany, nie dający się przełożyć czar mowy włoskiej. Poprzez lirykę jednak, nawet poprzez uroczę obrazy przyrody, przebija na każdym niemal kroku refleksya. Fogazzaro jest umysłem nawskróś refleksyjnym; poeta i myśliciel wciąż się w nim miesza: technienie szczerej poezyi ożywia całą jego filozofię, a przez całą poezję snuje się wątek myśli filozoficznej. Potrafi on jednak kreślić obrazki pełne lirycznego wdzięku, w których najczęściej powraca do swej ulubionej doliny Valsoldy. Na jej tle rozwija się najgłębszy z jego utworów wierszem, zatytułowany *Novissima Verba*. Fogazzaro otwiera tutaj całą duszę i spowiada się z najtajniejszych swoich marzeń i tęsknot. Najlepiej zresztą powtórzyć własne jego słowa.

Novissima Verba.

I.

Otwórzcie okna do słońca,
Otwórzcie. Jezioro drzemie,
A złote blaski na ziemię
Spływają w południa ciszy.

I świat ukoił się wszystkim
W cichy błękit spowity,
I nie drgnie żaden listek,
Nikt szmeru nie usłyszy.
Otwórzcie, otwórzcie do słońca!
Nad granitowe szczyty
Lśniąca śniegów korona
Błyszczy rozpromieniona.....
Już włoska jesień kona.....

II.

Cóż w tobie wiecznie wzdycha,
Ty moja cicha
Duszo? I jakaż skarga
Żałośnie tobą targa?.....

Budzą we mnie tęsknotę
Te blaski słoneczne złote
I drżące w powietrzu wonie
I błękit, w którym świat tonie.....
Bo wszystko mi przesłania
Smutek rozstania.....
Posepne jakieś duchy
Wzywają mię w świat głuchy
I ciemny. Jeszcze godzinę,
Godzinę zadumy smutnej
Daruj mi, głosie okrutny!
Nim mrok zapadnie wieczora
Po falach mego jeziora
Niech raz jeszcze popłynę
Między skaliste góry.
Oddawna tę dolinę
Kochałem, zanim jeszcze
Znałem cię, głosie ponury.
O, niech bodaj godzinę
Samotną ciszą się pieszczę!
I niechaj w cichej pieśni
Dusza tę chwilę prześni.....

III.

Pójdź do mnie — wabi mię leśna ścieżyna
 W zacisza pełne zielonego chłodu:
 Pójdź w te zacisza, po których za młodu
 Lubieś błądzić nieraz zadumany.
 Wszystko ci dawne lata przypomina;
 Idź dalej, głębiej, znajdziesz tam wśród cienia
 Nietknięte pierwszej młodości natchnienia,
 Dawne uczucia znajdziesz wiecznie świeże.
 O, porzuć głos ten ponury, nieznany,
 Który cię, nie wiesz dokąd, po co, wzywa.
 Może to wyobraźnia chorobliwa,
 Która cię nad brzeg przepaści popycha,
 Może to chciwość sławy, może pycha.....
 Zostań, poeto! Idź do tej polany,
 Gdzie wieniec laurów szczyty zielonemi
 Sięga do nieba, gdzie subtelne wonie
 Razem z wietrzykiem muskają ci skronie,
 Takiego kątko nie znajdziesz na ziemi,
 Choćbyś ją zwiedził od końca do końca.....
 Chodź! pełno ciszy, cyklamów i słońca!

IV.

Jeziora fali szum zdaleka słyszę.
 Słyszę, jak szemrze: „Chodź do mnie, chodź płynąć!“
 Idę. Łódeczka moja się kołysze
 Jak dawniej. Płynmy, będziem się bujali,
 Jak za lat dawnych po zmarszczonej fali,
 By potem wiosła, jak skrzydła, rozwinąć
 I lecieć, lecieć. Znikają w oddali
 Wesole domki, zielone ogrody,
 Cyprysy smutnie patrzące do wody.....
 Błękitne góry, jak zaczarowane
 Wyrastać zdają się jedna za drugą
 W dali obłoczną liliowiejącą smugą.
 Rzucę na wodę wiosła rozhuśtane
 I na obszary jasne, zwierciadlane
 Puszczam mą łódkę tak, jak listek róży,
 Niechaj ją fala migotliwa pieści

I cichym szmerem niechaj mi szeleści
W tej marzycielskiej, eudownej podróży.

V.

Zuchwały chłopcze, przysięgłeś za młodu
Rozstawić w świecie dolinę nieznaną.
Dzisiaj powracasz tu z duszą złamaną
I z sercem pełnem goryczy zawodu.
Powracasz dzisiaj i pieśnią wzgardzoną
Żałośnie skargi składasz na jej łono.
Tak, jak kochanek, co wyzywał śmiało
Losy i życie, gdy mu nie zostało
Nic oprócz duszy potarganej żalem,
Powraca złożyć skolataną głowę
Na piersi swej kochanki, by mu nowe
Życie natchnęła usteczek koralem
I blaskiem oczu.....

VI.

Słodka dolino! Niechaj się pograżę
W twoje objęcia! Chciałbym się rozplynać
W tobie i z twojej ciszy i pogody
Znów się odrodzić szczęśliwy i młody,
Albo na zawsze w twojem łonie zginąć.
O, niechaj mi się zdaje, że mię wiąże
Rozkoszny uścisk ramion ukochanych,
Że słyszę szeptu lubego pieszczotę...
Ty, jak kochanka, witasz słońce złote
I cała kąpiesz się w blaskach rumianych,
Wśród bujnych kwiatów, wśród pościeli miękkiej
Mchu zielonego kryjesz swoje wdzięki.
A duch mój tęskny, który wiecznie goni
Chmurne widzenia, przy tobie się chroni
I tu znajduje uroczne rojenia,
Tutaj myśl każdą w poezję przemienia,
Ach, tutaj leczę moją duszę chorą,
Co niespokojna, zmienna, jak jezioro,
Drzemie w bezdusznej pogrążona ciszy,
Albo wzburzoną falą nagle dyszy,

O brzeg się ostry rozbija i jęczy,
 A tajemnicę tego, co ją dręczy,
 Zna tylko wicher i obłoki lotne.....
Gdy mi obrzydłą już studia samotne,
 Gdy myśl znużona przed pracą się wzdryga,
 Gdy wyobraźnia moja próżno ściga
 Niesforne rymy, które blaskiem mają,
 A wnet pod myśli naciskiem się łamią,
 Wtedy znękany i z twarzą wybladłą
 Chciałbym powrócić na wód twych zwierciadło,
 Moje jezioro! Chciałbym leżąc w łodzi
 Patrzeć, jak słońce na szczyty zachodzi.
 I chciałbym śpiewać przy huku twojej fali,
 Kiedy grzmot echem po górach się wali.
 Ileż to razy w łódeczce miotanej
 Przez twoje nagle spienione bałwany
 Bujalem, widząc po nad moją głową
 Fal mokrą grzywę spiętrzoną surowo.
 Aż błysło słońce przywitane echem
 Ostatniem grzmotu, niby dzikim śmiechem.

VII.

Jest jakieś piękne, nadludzkie widziadło,
 Które przebywa po nad wód kryształem
 Między skalami. Kiedyś usłyszałem
 Tajny głos jego. Pamiętam tę chwilę:
 Zachodnie słońce swoje blaski kładło
 Na lesie, który zda się we krwi pływał,
 Posępny wicher przed burzą się zrywał,
 U stóp mych między skaliste wiszary
 Pośród wąwozów pelzał już mrok szary.....
I jak kochanek, który niespodzianie
 Spojrzawszy głębiej w kochanki źrenice,
 Ujrzy w nich nową jakąś tajemnicę,
 Zawarte nieme i tęskne pytanie,
 W którym mu przepaść duszy się odsłania,
 Tak i ja w sobie uczulem świtania
 Nowej miłości ogromnej, wieczystej
 Płomień ogarnął mię jasny i czysty,

Błogość nieznaną uczulem i trwozę....
 Rzadko z tym duchem spotykać się mogę,
 Lecz tęsknię za nim. Jak do jasnej zorzy
 Dusza ma cała przed nim się otworzy....
Tam, gdzie kaskady łuki srebrzystemi
 Od gór zielonych spadają ku ziemi,
 Gdzie w uroczystym, srogim majestacie
 Skały się piętrzą, jak groźne postacie,
 Gdzie wonny gaik w ciszy się uśmiecha,
 A wśród wąwozów wieczne grają echa,
 Tam mię nawiedza. O, powiedz, widziadło,
 Czyś ty powstało między temi skały,
 Gdy z łona ziemi w górę się dźwigały,
 Czyś też w promieniu światła z nieba spadło?....
 O, powiedz, powiedz, z kąd się biorą we mnie
 Tych niezbadanych, dziwnych pragnień ciemnie,
 Ten płomień, co mię ku tobie porywa?....
 Sam nie wiem, lecz ten skalisty zakątek
 Każdy w nim listek, każdy trawy prątek
 Wciąż mię ku sobie ściąga i przyzywa.
 Tam przez mą duszę przepływa tajemnie
 Technienie tej siły, która nie jest ze mnie.

VIII.

Uczuwam chłodny powiew tej doliny
 Cienistej, w której się wznoszą ruiny
 Kapliczki w wiotkie osnutej powoje.
 Tam to, u stóp jej jest schronienie moje.
 „Dosyć“, plusnęły wiosła i przybiegły
 Do brzegu. „Dosyć“, powtórzył odległy
 Głos echa.....

IX.

.....Otoś ty, moje kochanie!
 O, niechaj cały zagłębię się w ciebie,
 Niech moja dusza tutaj się zagrzebie
 I już na wieki przy tobie zostanie!
 Nie chcę o przyszłość pytać. Nie, nie, nie chcę!
 Wróc mi rozkoszne przeszłości godziny

I powiedz temu słońcu, które lechce
 Złotym promykiem twych cieniów głębiny,
 Powiedz, niech wody tej przejrzyste zdroje
 Bodaj na chwilę wrócą szczęście moje.
 Tylko o przyszłość niech mię nikt nie pyta
Może mi znowu dziś w duszy zawita
 Dawnych upojen czar.....

X.

....Gdy w chwilach szalu
 Zaszumi wino w puharach z kryształu,
 Kiedy dzikiego pożądania błyski
 Wszystkie oblicza rozpalą purpurą
 I w każdym oku zaświecą ponuro,
 Gdy kobiet pięknych, niby odaliski
 Włos się rozsypie i falują lona,
 Na których kwiecie bladej róży kona,
 A wtem do sali zajrzy promień świtu
 I zaćmi mętne światła u sufitu,
 Przez okno broni dolatują szczęki,
 A na ulicy przy blasku jutrzeńki
 Widać, jak wojska przechodzą kolumny
 I szereg kroczy za szeregiem dumny,
 Wtedy pobladną nagle wszystkie twarze.
 Jeden za drugim od stołu się zrywa
 I śpieszy, aby stanąć przy sztandarze,
 Walczyć, lub zginąć.....

Tak i mnie wrywa
 Z objęć kochanki podobne wezwanie.

XI.

Idź między ludzi, poeto! Nastanie
 Chwila, że spocznieś na przyrody łonie;
 Wówczas jej szmery upieszczą ci skronie
 I w twojem sercu wystygłem zagości
 Czar jej powszechnej, wieczystej miłości.
 Ale dziś trzeba ci iść między ludzi.
 Jeśli powiedzą, że Muza skonała,
 Nie wierz im. Żyje ta kochanka biała

I tylko starców gromadka się ludzi,
 Bo jej nie widzą. Zresztą tam wśród świata
 Wszystko, jak dawniej. Życie coraz dalej
 Pędzi i szumi na kształt wracej fali
 I ciągle buja myśl ludzka skrzydlata,
 Z połamanemi pióry wciąż opada,
 By znów podlecieć. A chłodna i biała
 Dłoń starców gasi w ręku własnych dzieci
 Płomień, co blaskiem urojeń im świeci.
 A pieśń świetlana dla chmur przeznaczona
 Zdeptana ludzką stopą w prochu kona
 I tłum się śmieje; lecz smutne kobiety
 Odczują wszystko, co w sercu poety
 Rwie się i tęskni. Kiedy zaś król pieśni
 Odechodzi w błysku pogrobowej sławy,
 Za jego trumną spieszy tłum ciekawy
 Z odkrytą głową dokoła się cieśni
 Bezmyślnie jego powtarzając imię.
 Tak za rydwanem wodzów w starym Rzymie
 Szła zwyciężonych bezduszna gromada.....
 Ale nietylko tłum na świecie włada.
 Są dusze wzniosłe i odważne serca,
 Których nie zmoże bezmyślny morderca,
 Co walczą dzielnie na urwistym zrębie
 I w ogniu własnym szukają podniety,
 A w chwilach smutku błagają poety,
 By im użyczył orle lub gołębie
 Pióra do wzlotu.

O, nie! Muza żyje,

Lecz jasną postać w ciemne szaty kryje,
 Puka do mędrców i na ich badania
 Rzuca wzrok jasny, jak blaski zarania,
 Jak promień zjawia się w dzikim zamęcie
 Tłumów, co obradują w parlamencie,
 I między cyfry, figlarna, jak dziecko,
 Tęcze poezji rozsnuwa zdradziecko.
 Nie, ona żyje! Wiecznej piękna córka
 Nic nie uśmierci. Lecz zmożeni bólem
 My, co strzeżemy królewskiej purpury,

Która dziś pustym jest tylko symbolem,
 Nam przyjdzie skonać. Dzisiaj nowych marzeń
 Świat potrzebuje i na fali zdarzeń
 Buduje coraz inne ideały;
 Lecz wzrok bogini dumnej i wspaniałej
 Nie padnie nawet na tłumy ciekawe,
 Ani na smutnych wybrańców.....

Tak, między ludzi! Zdala słyszę wrzawę
 Odległej bitwy i przez pustkę ciemną
 Spieszę do boju. Widzę! Tam przedemną
 Jest stanowisko. Za wszystko, w co wierzę,
 A co nas z ziemskiej gliny oswobodzi,
 Za wszystko piękne, co kochają młodzi,
 Waleczyć będziemy. Hej, naprzód, żołnierze!

Z tych wierszy wychyla się ku nam cała dusza poety; ukazuje nam ją z tą prostotą, z tym zupełnym brakiem wszelkiej pozy, który jest jego cechą wybitną, a dusza to silna i czysta, jak dyament. Kończy wezwaniem „Hej, naprzód!“ i to jest hasło całej jego twórczości. We wszystkich powieściach jego odnajdujemy tę samą myśl; są one jakby dalszym, widocznym ciągiem tej tajnej pracy ducha, którą nam odsłonił w *Novissima Verba*. I w coraz to nowych okolicznościach przedstawia działalność rycerzy ducha, a każdy z nich życiem swoim potwierdza wzniosłą dewizę autora *Usque dum vivam et ultra*. Wkłada on w nich tyle z własnej swej duszy, że odnaleźć ją możemy kolejno we wszystkich postaciach i widzieć, jak się stopniowo wyrabia i rozwija.

Pierwszem jej wcieleniem jest bohater powieści *Malombra*, młody poeta, Konrad Silla. Obdarzony naturą ognistą, zmysłową i nerwową, posiada przytem umysł wyższego pokroju, który nie tylko kocha wszystko, co piękne, ale wielbi ideały moralne i silnie odczuwa konieczność wprowadzenia ich w życie. Jakkolwiek, przy usposobieniu wrażliwym i porywczem, kosztuje go to niesłychanie wiele, trwa wiernie przy swoich zasadach, kierując się wspomnieniem ukochanej i czczonej matki. Na drodze jego stają dwie kobiety, które są uosobieniem rządzących nim sprzecznych żywiołów — coś

w rodzaju owych stereotypowych charakterów, czarnego i jasnego, tylko, że obie nakreślone z prawdą psychologiczną i wyraziście odmalowane, stają żywe przed nami. Pierwsza, to Donna Marina di Malombra, typ kobiety pięknej, nerwowej i inteligentnej, która łączy ognistą wyobraźnię i wrący temperament z zupełnym chłodem serca. Marina w skutek ruiny i śmierci ojca zostaje niespodzianie przerzucona z salonów paryskich i genueńskich do posępnego zamku nad brzegiem lombardzkiego jeziora, gdzie jej ofiarował schronienie wuj, bardzo bogaty dziwak-marzyciel, pełen serca, rozumu i szczególnych nawyków. Niecierpią się oni od pierwszego rzutu oka; zwłaszcza panna czuje nieprzemogłą antypatyę do wuja, którego z każdym dniem bardziej nienawidzi. Zaczynają wkrótce toczyć wojnę podjazdową, pełną cichych lecz nieustających zaczepiek. Łatwo sobie wystawić, jak miłem staje się wobec tego życie ich wśród otaczającej pustki, w starym zamku, pełnym ponurych wspomnień i legend. Panna nudzi się przeraźliwie, urozmaica sobie czas przejażdżkami po jeziorze, wycieczkami w góry, czytaniem, muzyką, ale mimo to wyobraźnia niezaspokojona trawi się własnym płomieniem, a nerwy bujają i szaleją, jak wichry na stepie. W takich warunkach natrafia ona przypadkiem na skrytkę w szafie, zawierającą rękopis dziwnej treści. Jestto coś, jakby testament pozostawiony przez obłąkaną żonę jednego z uprzednich panów zamku. Nieszczęśliwa kobieta, którą po jakiejś burzliwej i romantycznej historii mąż za karę trzymał w tym zamku, gdzie oszalała i zmarła wkrótce, przeklina go w namiętnych wyrazach i zemstę nad nim lub jego potomkami poleca.... ale komu? Dzieci niema, niema nikogo blizkiego; w szale rozpacz i nienawiści pisze więc do tej, której oczy pierwsze padną na ów rękopis i twierdzi, że to będzie istota, w którą wcieli się na powtórne ziemskie życie jej własna dusza. Jej więc przekazuje zemstę i miłość, miłość do swego kochanka, który zjawi się także w zamku pod nową postacią. Podpisuje się imieniem Cecylia. Na rozigranej wyobraźni i nerwach Mariny znalezienie tego rękopisu sprawia nieopisane wrażenie. Zaczyna ona sobie tłómaczyć niepojęty swój wstręt do wuja i dobroczyńcy; umysł jej, dotąd trzeźwy i sceptyczny, zaczyna się błąkać po szla-

kach niezdrowego mistycyzmu i jakiejś ślepej, chorobliwej wiary w Boga. Czuje się powołaną do spełnienia missyi i stopniowo ulega hallucynacyi coraz to silniejszej. Fogazzaro, który sam ma skłonność do szlachetnego mistycyzmu i przywykł filozoficznie roztrząsać kwestye wiary i niewiary, wybornie ilustruje tutaj niebezpieczeństwo tych zwrotów do religii, które mają źródło w chorobliwym stanie nerwów w żądzę wrażeń, a które dziś uprawiają na wielką skalę Loti, Huysmans i inni. Marina, dotychczas nie wierząca, zaczyna się modlić pod wpływem tej, której dusza, jak sądzi, przeszła w nią samą, a która jej poleciła prosić Boga o siłę do spełnienia missyi. Wśród tego wpada jej w ręce powieść Silli, wydana bezimiennie, a która ją tak interesuje, że postanawia zawiązać korespondencyę z nieznanym autorem. Wysyła tedy za pośrednictwem księgarni list, w którym pyta go o zdanie co do kilkakrotnego powracania dusz na ziemię pod postaciąmi rozmaitych osób, przyczem kokietuje go dowcipem i subtelnym sarkazmem, a podpisuje się.... Cecylia. Młody autor odpisuje, nie zdradzając swego *incognita*, słowem, zawiązuje się flirt listowny. Dziwnym (zanadto może powieściowym) zbiegiem okoliczności, wuj Mariny, hr. Cezar, sprowadza właśnie do zamku Sillę, w którego matce kochał się niegdyś, a któremu, pod pozorem pracy naukowej, chce delikatnie przyjść z materyalną pomocą. Młodzi, którzy znają się tylko z pseudonimów, nie mają oczywiście pojęcia, że się poznali osobiście. Marina, chcąc dokuczyć wujowi, traktuje jego gościa i ulubieńca z arrogancją pięknej kobiety, chłodem wielkiej pani i pogardliwą zarozumiałością sawantki. Młody człowiek niezmiernie dumny, a w skutek ubóstwa przesadnie drażliwy, przytem poryweczy, jak ogień, broni się świetnie. Broni się z tem większą energią, że odgadł tożsamość Mariny z Cecylią, że pomimowoli ulega jej urokowi i czuje do niej pociąg nieprzeparty. Marinę oppozycya drażni tem bardziej, że i jej młody człowiek podoba się w dziwny sposób, intryguje ją, choć sama nie wie czemu. Ostatecznie pod pierwszym lepszym pozorem urządza mu scenę taką, że Silla, dotknięty w najdrażliwszym punkcie swej godności, porzuca wszystko i natychmiast wyjeżdża. Przy rozstaniu jednak

rzuca jej w oczy jeden wyraz: Cecylia. Ona zostaje jak skamieniała: więc to on!.....

Silla wraca do swego ubożego ascetycznego życia i usiłuje zapomnieć. Zżyma się, wścieka na siebie za tę namiętność do kobiety, którą pogardza, a mimo to przemódsz się nie jest w stanie. Życie jego jest ciężkie: utwory w skutek tendencji „górných i chmurných“, niepopularnych, nie znajdują powodzenia; ideały, którym hołduje, napawają go tylko gorczyzą; bieda mu doskwiera, duma jego człowiecza i autorska cierpi na każdym kroku, a na to, co go nęci, pozwolić sobie nie może, nie tracąc dla siebie szacunku. Wówczas spotyka Edytę, młodą Niemkę, słodką, dobrą, rozumną, pełną poświęcenia, a która wydaje mu się aniołem zbawczym. W niej widzi taki ideał szczęścia, o jakim marzył. „Wszystko oddałbym — mówi — sławę, zaszczyty, za jedną duszę, za duszę, któraby przyjęła dla siebie wszystkie twory mego umysłu i serca, za duszę, któraby żyła we mnie, a ja w niej. Byłaby czysta i wzniosła, jak niebo. I wspólnie kochalibyśmy Boga i świat miłością, pełną nadludzkiej potęgi. W tej miłości bylibyśmy silni, silniejsi, niż czas, niż nieszczęście, niż śmierć nawet; rozumielibyśmy ducha i istotę wszechrzeczy, a w myśli naszej świtałyby widzenia lepszej przyszłości, widzenia, których wspaniałości nie dorównać nie zdoła“..... W tych słowach widnieje czysty idealizm Fogazzara, idealizm, który mu do dziś dnia przy siwych włosach zachował młodość ducha. Ale dla bohatera *Malombry* staje się tylko tragicznym czynnikiem, popychającym go do zguby. Edyta bowiem, chociaż go kocha, nie jest wolną; przysięgła sobie, że poświęci całe życie ojcu, który swego czasu wyrzekł się dla niej wszystkiego na świecie. W tym konflikcie moralnym jest już cały Fogazzaro: losy bohaterów jego nie rozbijają się nigdy o przeszkody materialne, nie stają im na drodze zwykle komplikacje powieściowe—dramat leży zawsze w ich uczuciach i w zasadach, którym sprzeniewierzyć się nie są w stanie. Przeszkodą do szczęścia jest u nich zawsze poczucie dobrowolnie przyjętego, moralnego zobowiązania. Ta sytuacja powtarza się pod rozmaitemi postaciami w każdej powieści. Tu, w *Malombrze*, jest traktowana najslabiej. Wszelkie poświęcenia, gdzie prócz swojego, łamie się jeszcze

szczyście drugiej osoby, są nielogiczne. Edyta, ukrywając swoje uczucia i odmawiając Silli swej ręki, wyrządza mu krzywdę, o której niema pojęcia. Silla wprawdzie, z właściwą sobie prawością, opowiedział jej swój stosunek z Mariną, ale Edyta, młoda, niedoświadczona, a przytem czysta i szlachetna, nie może zrozumieć gatunku uczuć, od których ją dzieli cała przepaść. Zresztą jest Niemką i nawet w miłości zachowuje słodką harmonię *des ewig Weiblichen*, która stanowi główny jej urok; nie zdaje więc sobie sprawy z niebezpieczeństw, grożących ognistym włoskim naturom w rodzaju Silli. Co prawda niebezpieczeństwo zdaje się zażegnaniem o tyle, że właśnie w tym czasie ma się odbyć na wsi ślub Mariny z kuzynem, którego poznała po wyjeździe Silli. Ten zaś, rozgoryczony i znękanym odmową Edyty, nagle otrzymuje telegram z wiadomością, że hr. Cezar umierający pragnie go widzieć; pod telegramem jest znów tajemniczy podpis: Cecylia. Silla spieszy do zamku, w którym przez czas jego nieobecności zaszły dziwne zmiany. Marina, po wyjeździe jego rzucona na pastwę swej *idée fixe*, do której dołączyły się wybuchy jej natury bujnej, gwałtownej, rwącej się do życia i miłości, wpada w coraz większe wzburzenie. Obok konieczności zemsty, widzi teraz nieublagane *fatum*, które ją popycha w objęcia Silli, bo skoro ona sama jest powtórzeniem weieleniem duszy nieszczęśliwej Cecylii, to w nim oczywiście odżywa dawny teźże kochanek, którego powrót Cecylia zapowiedziała. Chodzi jej tylko o to, jak połączyć te dwa „obowiązki“. Sposobność się właśnie nadarza. Hrabia, widząc wstręt Mariny do życia z nim pod jednym dachem, proponuje jej małżeństwo z kuzynem, którego oboje nie znają, a który ma przybyć do zamku w odwiedzin. Pozostawia jej naturalnie zupełną swobodę wyboru. Młodzieniec przyjeżdża i okazuje się zarozumiałym, płaskim karyerowiczem, wysoce wstrętnym dla Mariny. Ale panna o wyobraźni rozegzaltowanej, o nerwach wzburzonych do ostateczności, postanawia wyrzucić na nim swą wściekłość i zemścić się podwójnie: za Cecylię, która poleciła nienawidzić wszystkich mężczyzn z tej przeklętej rodziny, i za to, co sama wycierpiała przez swą miłość dla Silli. Na oświadczenia kuzyna odpowiada wzgardliwie, że go nie kocha, ale pójdzie za

niego. Ten, który widzi w Marinie dziedziczkę ogromnej fortuny hr. Cezara, a zresztą ma dla niej uczucie dość nawet silne, choć najniższego gatunku, zgadza się i następują przygotowania do wesela. W miarę jednak, jak się posuwa czas narzeczeństwa, rozdrażnienie Mariny wzrasta przerażająco, aż nareszcie w nocy poprzedzającej dzieńznaczony na ślub, w przystępie obłąkania wpada do sypialni wuja i obwieszcza mu, że jest Cecylią i że chwila spełnienia zemsty nadeszła. Hrabia pada rażony apopleksją, nazajutrz znajdują go zemdłego, a powodów nikt oczywiście wytłómaczyć sobie nie umie. Marina zaś przyszedłszy napozór do przytomności, wyprawia w sekrecie telegram do Silli. Ten przyjeżdża, nie wiedząc o niczem i o niczem też w zamku dowiedzieć się nie może. Widzi tylko, że hrabia sparaliżowany i bezprzytomny, nikogo nie poznaje i że wita go Marina, dysząca tęsknotą. Zresztą Silla niezbyt się nad wszystkim zastanawia. Telegram Mariny zastał go w chwili moralnego przełomu, w chwili, gdy zawód najboleśniejszy, ostatni w szeregu tylu innych, zniechęcił go ostatecznie do wszelkich ideałów. Przyjechał z rozpaczą szaleńca, który, nie mając już nic do stracenia, rzuca się głową naprzód w nęcącą go ku sobie przepaść. I w chwili, gdy przyjaciel jego i dobroczyńca, człowiek, którego kochała jego matka, leży konający, Silla pod oknami jego pokoju wyczekuje w parku schadzki wyznaczonej mu przez Marinę. Ta zaś szaleje na dobre, szaleje, jak się wydaje Silli, z miłości dla niego, wreszcie rzuca się w jego objęcia i ciągnie go za sobą do swego pokoju. Tutaj daje mu do przeczytania fatalny rękopis. Silla nie wie, co myśleć, ale dziwaczne, grozą przejmujące słowa mistycznego testamentu, półmrok w pokoju, w którym migocą blaski świec, a zwłaszcza sam na sam z upajająco piękną kobietą, wszystko to wprawia go w dziwne podniecenie.... Wtem do pokoju wpada z krzykiem służba: hrabia umiera. Marina w obłędzie spieszy do jego pokoju i tam przytulona do ramienia Silli, którego za sobą przywlokła, zaczyna wykrzykiwać okropne majaczenia. Sześciem hrabia jej nie słyszy: już skonał.... Po otwarciu testamentu okazuje się, że cały majątek jest zapisany na cele dobroczynne. Narzeczoną Mariny coprędzej ucieka z pałacu, Silla zaś, choć *de facto* nie

go nie wiąże z Mariną, czuje się moralnie zobowiązanym ożenić się z nią, choćby miała na zawsze pozostać obłąkaną. Adwokat i doktor perswazyami odwodzą go od tego postanowienia, mówiąc, że chorą przede wszystkim należy odstawić do zakładu. Tymczasem Marina, wezwawszy Sillę, sama mu proponuje, żeby wyjechał, tłumacząc, że wszystko, co czyniła, czyniła w stanie nieprzytomnym. On się zgadza. „Nie rozumiał, że to była tylko próba“ — szepee do siebie Marina ze straszonym uśmiechem. Teraz prosi go tylko, aby przed wyjazdem zechciał zjeść obiad z nią w towarzystwie tamtych panów. Na obiad ten, zastawiony wśród kwiatów na werandzie nad brzegiem jeziora, o dwa kroki od pokoju, w którym leży niepochowany jeszcze hrabia, schodzi Marina przepysznie wystrojona i.... zabija Sillę wystrzałem z pistoletu, sama zaś ucieka w góry, gdzie się topi w jakiejś „studni dyabelskiej“, a „księżyc — kończy autor — jak zwykle zajrzał przez arkady *loggiety* do zamku opustoszałego ze wszystkich mieszkańców i zdawał się czekać obojętnie, aż znajdą się tu inne serca i głowy, które będzie mógł znowu rozmarzać swym blaskiem“.....

Silla, jak wszyscy prawie bohaterowie Fogazzara, jest postacią nawskróś tragiczną. Głęboko prawy i czysty, szlachetne życie kończy w nędzny sposób, a los prześladowuje go nawet po śmierci. Języki ludzkie szarpia z upodobaniem pamięć jego, wygadując na obludę, z jaką oszukiwał hrabiego, na niekzemność i bezczelność, z jaką przybył w chwili jego śmierci i t. d. Jest jednakże ktoś, co go broni i wspomina ze czcią nieledwie: mianowicie Edyta. Ta kocha go i ufa mu w zupełności. Nie znając szczegółów ani jego śmierci, ani tego, co ją poprzedziło, śmiało twierdzi, że tylko pozory były przeciw niemu, bo ten człowiek nie byłby nigdy w stanie popelnić podłości. Czuje się poniekąd winną jego śmierci, ale nie rozpacza zbyt. Ze spokojem i rezygnacją mówi sobie, że Bóg przyjął jej ofiarę, wysłuchując w zamian najgorętszą jej prośbę. Oto ojciec jej, który dotąd był niedowiarkiem, teraz pod jej wpływem, pod wpływem miłości swej dla niej, uwierzył głęboko i zupełnie. Ponieważ zaś Silla był człowiekiem wierzącym, Edyta nie wątpi, że spotkają się w innym, lepszym świecie, bo wszakże jej mi-

łość dla niego jest wieczną. W tem właśnie najslabszy punkt powieści. Jakkolwiek losy Silli są wzruszające przez swój tragizm istotny, bo leżący w głębi natury samego bohatera, ofiara Edyty jest nienaturalną i przesadną; każdy bowiem przyzna, że serce zdolne kochać tak głęboko i z takim zaparciem się siebie, może doskonale pomieścić miłość dla męża i dla ojca, bez zbyteńgo uszczerbku dla tego ostatniego. To, co Edyta chciała sobie wyprosić, to jest wiarę ojca, mogła była osiągnąć kosztem mniejszym, niż zguba Silli. To też moralne zadowolenie, jakie uczuwa w swym bezgranicznym żalu po śmierci Silli, jest nielogiczne i osłabia wrażenie, jakieby mogła wywierać ta wzniosła i piękna postać kobieca.

Malombra grzeszy okropną rozwlekłością, przeladowana jest mnóstwem zbytecznych epizodów i zanadto rozwodnionych dysput filozoficznych. Przytem intryga awanturnicza, mająca chwilami zakrój *à la* Rinaldo Rinaldini, robi dzisiaj wrażenie czegoś przestarzałego. Ratuje ją jednak wybitny talent poetycki, z jakim jest napisana i przenikające ją całą blaski fantazyi. Przepyszne obrazowanie, dramatyczny nastrój scen i wybornie prowadzone niektóre dyalogi zajmują i zaciekawiają. To zaś, co ją wyróżnia indywidualnie i stawia wyżej od wielu innych powieści, to właśnie ów czysty idealizm Fogazzara, przejawiający się tu na każdej prawie karcie. Niezachwiana wiara Edyty, że ukochanego swego spotka kiedyś w innym świecie i miłością swą wynagrodzi mu po śmierci to, co z jej powodu wycierpiał za życia, przenosi czytelnika jeśli nie uczuciem, to wyobraźnią w lepsze jakieś sfery, gdzie się ufa, kocha i wierzy bez zastrzeżeń i uchyla rąbek zasłaniający ideały, o jakich się nie śniło filistrom.

O wiele subtelniejszą i wykwintniejszą formą odznacza się następna powieść Fogazzara: *Tajemnica poety*. Bohaterem jej jest znów młody poeta, który bardziej jeszcze, niż Silla w *Malombrze*, zdaje się być portretem samego autora. Podobnie, jak Fogazzaro, kocha się on..... w pewnej skale nad brzegiem jeziora. Jestto zapewne tasama skala, z którą Fogazzaro toczył wspomnianą wyżej rozmowę i o której pisał znów na innym miejscu:

Chciałbym, by grób mój był na szczycie skały
 Tam, gdzie ostatni blask wieczoru drży,
 By stopy ludzkie po mnie nie deptały,
 By nie płynęły na mnie próżne lzy.

A moja skała dumna i radosna,
 Że jej poeta spoczął u jej stóp,
 W tysiące kwiecica dzikiego co wiosna
 Stroiłaby ten samotny mój grób.

Tam odwiedzałyby mię tylko burze,
 Wierne kochanki młodych moich lat
 I w huku gromów, w błyskawic purpurze
 Ukazywałyby mi nowy świat.

Ty zaś, o pani, jeżeli przypadkiem
 Zabłądzisz tam nad jezioro wśród gór,
 To szepniesz może westchnawszy ukradkiem:
 „Ot, zawsze lubił siedzieć gdzieś wśród chmur“.

Bohater powieści miłość swą posuwa tak daleko, że każe sobie za życia wykuć ów grób i położywszy się w nim, przepędza tak całą noc. Ale ta niema kochanka mu nie wystarcza. Miewa on sny, w których dwukrotnie słyszy słodki głos kobiecy i głos ten ratuje go z jakiejś czarnej studni, gdzie miał utonąć. Życie jednak wrącym prądem unosi młodzieńca i zamiast wizyi, nasuwa mu bardziej realną miłość, w której szuka on upojenia i oszołomienia. Zdenerwowany, rozdrażniony, ucieka znów do stóp swojej skały i lokuje się tam w pensyonacie na przeciwległym brzegu jeziora. W tym samym pensyonacie mieszka jasnowłosa Angielka o twarzyczce nadzwyczaj idealnej, słodkiej i myślącej. Zna ona dzieła młodego poety, pragnie poznać i jego samego. Następuje prezentacya..... O nieba! jej głos, to ów mistyczny głos we śnie słyszany..... Poeta już jest zakochany. Dowiadyje się, że pani Violetta bawi tu ze starym, chorym mężem; to jeszcze powiększa jej urok. Spostrzega, że jest ona trochę kulawa; to jej dodaje chorobliwego wdzięku! Stojąc na terasie nad jeziorem, przyglądają się razem skale, obser-

wują ją przez lunetę, przyczem spotykają się ich ręce w sposób ogromnie mistyczny, jak twierdzi poeta. Violetta opowiada mu, że po bardzo bolesnych przejściach dostała w ręce jego książkę, w której znalazła wiele rzeczy jakby wyjętych z własnej swej duszy i kocha tę książkę. W dalszym ciągu powiada, że ten pan przez pomyłkę zapisany jako jej mąż, jest jej stryjem. Wreszcie wyznaje, że kochała raz w życiu i tyle przecierpiała, iż postanowiła nigdy więcej nie kochać, że jest zaręczoną bez miłości i prosi poetę, aby o niej zapomniał. Potem wyjeżdża. On wyjeżdża również, ale zapomnieć nie może. Dowiaduje się, że Violetta jestto córka Anglika i Włoszki, uboga, mieszkająca u bogatych stryjów, przemysłowców w Norymberdze. Postanawia jej szukać, jedzie do Norymbergi. I tu, na przesłiznie nakreślonym tle średnio-wiecznego miasta, szumiących zielenią majową niemieckich gajów i parowów, rozgrywa się dramat. Narzeczony Violetty, równie szpetny, jak szlachetny, Niemiec, o minie niepozornej a sercu tkliwym i delikatnym, jak u czulej kobiety, gotów byłby poświęcić własne szczęście, ale drży o ukochaną Violetkę. Jest ona zagrożona dziedzicznym cierpieniem nerwowym i potrzebuje troskliwej opieki, którą narzeczony zamierzał ją otoczyć; słusznie przypuszcza on, że Violetta będzie o wiele mniej bezpieczna w towarzystwie nerwowego, namiętnego i poetycznego Włocha. Violetta ma z tym ostatnim długą rozmowę, w której mu opowiada dzieje swej pierwszej miłości. Została wówczas okrutnie wzgardzoną i zranioną aż do dna serca. Dla swego terażniejszego narzeczonego ma szacunek, nawet uwielbienie, nie chce i nie może złamać danego mu słowa. Ten konflikt moralny jest o wiele lepiej obmyślany, głębszy i prawdziwszy, niż w *Malombrze*. Poeta zdaje się uznawać słusność zapatrywań Violetty; po tej rozmowie czuje się bliższym jej, niż był kiedykolwiek i mówi, że choć los zmusza ich rozstać się, duchy ich na zawsze zostaną połączone, a wszakże jedyne prawdziwe szczęście leży w braterstwie dusz. Ten wieczny ideał Fogazzara wygląda tutaj trochę niekonsekwentnie wobec nerwowego charakteru, jaki mają uczucia tych dwojga ludzi. Szczęściem jednak rzeczy biorą na razie pomyślniejszy obrót, dzięki szlachetności narzeczonego Violetty, który nietylko decyduje się

ustąpić miejsca poecie, lecz rozstaje się z nim w przyjaźni. Ale *fatum* prześladowuje biedną Violetę. Przed samym jej ślubem, który po rozmaitych komplikacjach ma się wreszeie odbyć, wśród pysznej sceneryi nadreńskich krajobrazów, zjawia się *deus ex machina*, pierwszy jej wielbiciel, ten, który swego czasu złamał jej serce. Teraz powrócił do dawnych uczuć, twierdzi, że ma do niej prawo, grozi, że potrafi przeszkodzić ślubowi. Zaniepokojony poeta przyspiesza obrzęd, który się odbywa o północy wśród grzmotów i błyskawic, a państwo młodzi wyruszają natychmiast w podróż do Włoch. Ale ów tajemniczy jegomość (którego autor nie nazywa inaczej, tylko „człowiek z Bingen“) dogania ich w wagonie i niespodzianem swem ukazaniem się tak przeraża biedną Violetę, iż ta, tknięta nerwowym paraliżem, kona w objęciach tylko co zaślubionego męża.

Tajemnica poety, mimo rozwlekłości i ustępów nieznośnie sentymentalnych, czyta się przyjemnie. Jestto najpoetyczniejsza z większych powieści Fogazzara, prawie że poemat prozą, wśród której zresztą, jak okrucy rozbitej tęczy, rozsypał autor mnóstwo wierszy, wyjętych wrzekomo z dziennika poety. Mimo idealnego nastroju, większość postaci jest skreślona z realizmem i prawdą życiową. Więcej tu psychologii, mniej filozofii, niż w *Malombrze*; nad myślicielem góruje poeta, a rwąca fala miłości i fantazyi zabija tu wszelkie rozumowania.

Jednakże zarówno w tej powieści, jak i w następnej, mileży jeszcze struna, którą Fogazzaro w dalszych latach swej twórczości umie potraćać z siłą i uczuciem, a mianowicie struna miłości ojczyzny. Najżywszym jej wyrazem jest ostatnia powieść, wydana przed kilku laty zaledwie, a zatytułowana: *Dawny światek (Piccolo mondo antico)*. Nigdzie dotąd Fogazzaro nie objawił swych uczuć patryotycznych tak gorąco, jak tutaj. Miłość dla Italii, dążenie do zjednoczenia jej (bo rzecz się dzieje jeszcze między 1850 a 1860 r.) stają się dźwignią w charakterze Franca Maironi, który jest z natury marzycielem niezdolnym do czynu, skłonny do rojeń i chwilowych uniesień. Ach, nam, Polakom, znane są dobrze podobne natury i znane pobudki, które je mogą wyrwać z bezczynności i rozniecić w niej zapaly bohaterskie! Może też dzięki

temu Franco zdobywa przebojem sympatyę czytelnika. Gdy woli narazić na ubóstwo żonę i dziecko raczej, niż przyjąć pieniądze od babki, która go obraziła, gdy wciąż popada w niepoprawne marzycielstwo, gdy zuchwale i nieogłędnie wyzywa nienawistnych mu Austryaków, gdy spieszy do Turynu i tam, pełen zapału, oddaje się całkowiecie na rozporządzenie hr. Cavoura, losy jego budzą w czytelniku zainteresowanie tak żywe, jakby chodziło o blizkiego krewnego. Kiedy zaś wczesnym rankiem wiosennym, po przez mgły opalowe, podnoszące się z nad jeziora, wylądowują na Isola Bella statki pełne ochotników włoskich, a z nad brzegów słyhać echa odległej musztry i mały chłopak ogrodniczek powiada z błyszczącym okiem: „O, za tydzień zacznie się już naprawdę strzelanina!“ — to nerwom czytelnika udziela się naprężenie, które wówczas nastrajało do zgodnego brzmienia dusze po wszystkich krańcach Italii, a przed oczyma stają szeregi legionistów, którzy niegdyś z tej samej ziemi maszerowali ku północy..... Franco, to młody, dwudziestokoletni chłopak, zdolny i poetyczny, ale bardziej skłonny do ulegania przelotnym porywom, niż do pracy poważnej i wytrwalej. Tło jego natury stanowi ogromna szczerłość i głębokość przywiązań, połączona z naiwną, ale również głęboką wiarą religijną. Wierzy on bez rozumowania, tylko na podstawie uczucia i wyobraźni i kocha swoją wiarę podobnie, jak kocha muzykę i poezję, jak kocha rodzinną swą dolinę Valsoldy i jezioro i rosnące nad jego brzegami pinie, cyprysy i oliwki. Natomiast żona jego, Luiza, to typ zupełnie przeciwny, jednoczący trzeźwość umysłu i zapatrywań z gorącym temperamentem i hardą porywcznością Włoszki. Miłość jej dla Franca ma w skutek tego pewien odcień pobłażliwości i politowania. Kocha go za jego poetyczną naturę, ale jednocześnie uważa go za niezdolnego do czynu. Ta przewaga woli i energii żony nad kobiecą miękkością charakteru męża, budzi w polskim czytelniku wiele rodzimych przypomnień. Ale różnice charakteru między Frankiem a jego żoną zanikają pozornie pod wpływem wspólnej myśli, która ich jednoczy zupełnie. Tą myślą, tem uczuciem jest marzenie o niepodległości Włoch. Nastają czasy gorące, nadchodzi rok 1859 i Franco, zmuszony wyjechać do Turynu, aby tam

szukać zarobku, jako dziennikarz, rzuca się odrazu w gorączkowy wir polityki i cały się oddaje na usługi Italii. Luiza dumną jest ze swego męża; teraz nieby już nie powinno stanąć między nimi: kochają się gorąco, kochają swoje jedyne dziecko, mają wspólne ideały narodowe..... ale Fogazzaro, jak zwykle, sięga głębiej. Jest on tak przejęty swemi ideami etyczno-religijnymi, że nie pojmuje szczęścia między dwojgiem ludzi, którzy się różnią na tem polu. I tutaj różnice te sprowadzają rozłam pomiędzy Luizą a jej mężem. Ona ze swym umysłem trzeźwym, bystrym i praktycznym nie jest bynajmniej skłonną do wiary i pobożność męża uważa za objaw niedojrzałości duchowej, za brak męskości w charakterze. Niewiara jej wzrasta jeszcze po śmierci jedynej córeczki i przeradza się wprost w nienawiść do wszystkiego, co religijne. Franco przeciwnie, w żarliwej wierze znajduje i pociechę i oparcie. Tutaj Fogazzaro postawił sobie zadanie niezmiernie delikatne: uzasadnić psychologicznie rezygnację, płynącą ze źródła religijnego, a nie popaść w komuną, ani w suchą katechizmową frazeologię, to rzecz bardzo trudna. Fogazzara ratuje tu, jak zawsze, ogromnie szczere odczucie zasad, które wyznaje. Piszę on z przejęciem to, co myśli, pisze z taką siłą przekonania, że sytuacje psychologiczne, malowane przez niego, tętną prawdą i życiem, na które inaczej nie byłby w stanie zdobyć się mimo całego talentu. W przeciwieństwie do poważnej wiary Franca zaznaczył Fogazzaro wybornie schwycony rys w charakterze Luizy. Ta kobieta, która gardzi prostemi wierzeniami i ze wstrętem ucieka od pociech religijnych, tak jednakże czuje potrzebę zjednoczenia się w jakikolwiek sposób z duszą swojej dziewczynki, że się ucieka do grubych zabobonów i usiłuje się z nią komunikować za pomocą..... stolików wirujących. Tutaj silniej i lepiej, niż w *Malombrze*, zaznacza Fogazzaro ten nieunikniony zwrot do mistycyzmu i praktyk spirytystycznych, który cechuje wszystkich niedowiarków, ile razy zetkną się z ciemnymi i niezrozumiałymi popędami własnej duszy. Luizę ogarnia poprostu mania przywiązania do zmarłej córeczki. Drży ona z obawy, aby się pamięci tego dziecka nie sprzeniewierzyć i aby jakiegokolwiek inne uczucie nie zatarło jej wspomnienia. Ten obłęd chwilowy opanowuje

ją do tego stopnia, że gdy mąż wzywa ją, aby przybyła do Isola Bella, gdzie ją chce pożegnać przed zaciągnięciem się do wojska, ona się waha, czy ma prawo opuścić na dobę grób jedynaczki. Ostatecznie decyduje się na wyjazd. Widok męża, bądź co bądź ukochanego, zapał, ożywiający wszystkich dokola, dźwięk pieśni narodowych włoskich, wylądowujące co chwila nowe gromadki ochotników, wszystko to budzi młodą kobietę z martwej apatyi, w której była pogrążona przez wiele miesięcy. Mimowoli i jej się udziela radosne podniecenie i po rozstaniu z mężem, który idzie na walkę pełen nadziei, ona także czuje w sobie początek nowego życia, nowych uczuć, wierzeń i ideałów. Zakończenie powieści, to jakby pobudka wojenna, przy której wschodzą brzaski lepszej przyszłości. Znika „dawny światek“, a na jego gruzach powstaje odrodzona Italia, szczęśliwa!...

Niestety, w *Dawnym światku* występuje, podobnie, jak w innych powieściach Fogazzara, rozwlekłość, która, zwłaszcza na początku, odstręcza cokolwiek czytelnika. Ale w miarę, jak akcja postępuje, w miarę zwłaszcza, jak zaczynają grzmieć pierwsze echa wojen pimonckich, autor daje się unosić werwie i pisze z ogniem i młodzieńczym zapałem.

Właściwą jednak koroną twórczości powieściowej Fogazzara, jest dawniejszy jego romans: *Daniel Cortis*. Cortis, to w jego pojęciu ideał człowieka-Włocha. Jeśli Silla w *Malombrze* i bohater *Tajemnicy poety* byli rzecznikami zapatrywań autora na miłość i poezję, to w postaci Cortis'a uosabia on swoje poglądy życiowe i polityczne. Zbytecznie chyba wobec tego dodawać, że Cortis patrzy wysoko. Ideały jego tkwią gdzieś w chmurach po nad tem, co przyświeca postępowaniu ludzi przeciętnych, ale dla jego wielkiej duszy nie są one ani zbyt górne, ani niedoścignione. Sam o sobie powiada, że nie jest stworzony do tego filisterskiego szczęścia, za którym goni większość; on szczęście widzi dopiero w cierpieniu. Co prawda życie mu tego nie skąpi. Na wstępie powieści Cortis rozpoczyna karierę polityczną, jako poseł w parlamencie. Odrazu w pierwszej mowie rzuce on śmiało swój program, nie dbając na pomieszanie i wystraszenie, jakie wywołują jego ogniście wypowiedane myśli. Mowa ta, formułująca przekonania jasno i treściwie, tak jest silna i poe-

teczna zarazem, że porywa nietylko audytorium powieściowe, ale i czytelnika. Mimo jednak wrażenia, wywartego na razie, Cortis nie zyskuje wielu zwolenników. Patryoci nazywają go klerykalem, bo przyszłość Włoch widzi w demokracji opartej na katolicyzmie, duchowieństwo zaś krytykowane przez niego surowo i z ostrym, dowcipnym sarkazmem, również się do niego nie garnie. Wszyscy prawie ludzie myślący i rozumnie kraj swój kochający, dzielają jego zapatrywania; niektórzy z nich wielbią go nieledwie, ale gdy chodzi o poparcie przekonań czynem lub choćby tylko podpisem, boją się, cofają i Cortis zostaje odosobniony. „Urodziłem się widocznie o kilkadziesiąt lat za wcześnie — mówię z goryczą — i w polityce niema jeszcze dla mnie miejsca.“ „A jednak — zapytuje — czyżby ta Italia nie była już w stanie świata niczego nauczyć? Czyżby nas Opatrzność po to tylko wskrzesiła z martwych, abyśmy fabrykowali lichą demokrację i lichą literaturę?“ I nie traci wiary w tę ukochaną Italię, z którą zrosła się jego dusza. „Zresztą — powiada — jeśli nawet idziemy ku upadkowi, czyż nie warto poświęcić życia dla ocalenia, dla podźwignięcia bodaj paru pokoleń?“..... Złote słowa, wartoby je wyrzeć przed oczyma niejednemu z tych, których literatura nie jest lichą i świadectwo ich żywotności roznosi daleko po za oceany. Cortis walczy za swoje przekonania wszystkimi siłami duszy i nerwów. Nerwy te jednak coraz bardziej rozigrane, w końcu wymykają mu się zupełnie i w chwili rozstrzygającego wystąpienia w parlamencie powodują atak do mózgu, zagrażający życiu. Niema się co dziwić! Stosunki jego rodzinne mogłyby przypisać o szaleństwo: we wczesnem dzieciństwie Cortis stracił matkę i to nie przez śmierć, ale w sposób stokroć gorszy. Została ona wypędzona z domu przez męża za zhańbienie honoru jego i nazwiska. Co się z nią potem działo, nie wiadomo; przypuszczano, że gdzieś umarła. Tymczasem w przeddzień swojej elekcji do parlamentu, Cortis niespodzianie otrzymuje list od matki, która go wzywa do Lugano. Rzuca wszystko, jedzie i znajduje..... kogoś w rodzaju starej aktorki trzeciorzędnej, czy t. zw. pańskiej żebraczki. Związła, wymalowana, deklamująca tragicznym tonem coraz nowe kłamstwa, zawracająca ognistemi czarnemi oczyma o poźół-

kłych bialkach, słowem chytra megera, która zręcznie chce wyzyskać na swą korzyść synowskie uczucia i wysokie stanowisko Cortisa. Nie ograniczając się na wyłudzeniu od niego pieniędzy, przeróżnemi intrygami skłania go, aby ją zabrał do siebie do Rzymu, gdzie intryguje znów na wszystkie strony z istic włoską przebiegłością. Przedewszystkiem zazdrosną jest w najwyższym stopniu o wpływ, jaki ma na Cortis'a kuzynka jego, Helena. Ci dwoje kochają się, chociaż sobie tego jeszcze nie wyznali; Helena bowiem jest zamężną. Dla różnych względów rodzinnych poszła za mąż młodzieńtko za starszego znacznie od siebie barona di Santa Giulia, który po ślubie okazał się szulerem i passionatem brutalnym dla żony. Szybko stracił cały jej posąg i groźbami usiłuje w dalszym ciągu wyzyskać pieniądze od jej rodziny. Ale młoda kobieta ma nieugiętą wolę i hart duszy. Nietylko dzielnie i zręcznie broni swą rodzinę od wyzysku i ruiny, ale hardo staje na straży honoru męża. Nigdy i przed nikim nie przyzna, że się zawiadła na jego charakterze; nikt niema pojęcia o scenach, jakie znosi od niego, stawiając odważnie czoło temu rozwścieczonemu Włochowi o powierzchnowości sycylijskiego korsarza. W obecności jej nie wolno słowa na niego powiedzieć: postępuje zawsze jak wierna i przywiązana żona, a pogardę dla męża zdradza wówczas tylko, gdy we cztery oczy odpiera jego wściekłość. A dumna wtedy! a piękna, że ten dziki człowiek patrzy na nią z podziwem i czią mi mowolną. Baron, dzięki swemu pochodzeniu ze starej arystokratycznej rodziny, został członkiem Senatu w Rzymie, ale za nieuczciwe postęпки przy grze ma być zeń wykluczony. Ponieważ ma on swój honor żołnierski (jest ex-wojskowym) i pewną „superbię“ czysto włoską, w skutek której woli zginąć, niż przyjąć od teściowej pieniądze, których mu raz odmówiono, więc postanawia sobie życie odebrać. „Oby go Bóg natchnął“ — mówi rodzina Heleny, przekonawszy się, że wszelkie propozycje spłacenia długów są daremne. Ona jednak inaczej pojmuje obowiązki żony i nie cofnie się przed żadną ofiarą, aby męża ocalić. Tymczasem Cortis, który się przypadkiem dowiedział o kompromitacji grożącej mężowi jego kuzynki, chce mu ofiarować bezimiennie sumę na pokrycie długów, pod warunkiem, aby sam zażądał dymisyi

z Senatu. Robi to w sposób taki, że można się dorozumieć, iż propozycja pochodzi od rządu. W chwili, gdy kontrakt ma być podpisany, wpada matka Cortis'a i wyznaje mu, popierając wyznanie dowodami, że to właśnie baron, jako młodzieńki oficer, był powodem jej nieszczęścia i wygnania z domu mężowskiego. Jeszcze i to! Po chwili okrutnej walki, Cortis jednakże podpisuje, dowiadując się od adwokata, że w ten sposób ratuje od śmierci męża Heleny. Lecz według jego pojęć, niepodpisanie równałoby się zabójstwu. Zasadą jego jest: żadnych kompromisów z własnym sumieniem; skoro raz wziął sprawę w swoje ręce i obrót jej uczynił zależnym od siebie, cofnąć się nie chce i nie może. Ale matka jego, rozdrażniona aż do wściekłości, postanawia zemścić się jednocześnie na baronie i na jego żonie, której nienawidzi również. Rozpuszcza tedy wiadomość, że Cortis pieniędzmi chce sobie okupić milezenie i wyrozumiałość barona. Za pierwszą jednak pogłoską stryj Heleny wdaje się w tę sprawę, wykupuje sumę Cortisa również bezimiennie, dodając tylko od siebie, jako warunek, oprócz zażądania dymisyi, wyjazd do Ameryki. Biedny stryj chciał zrobić jak najlepiej, ale popełnił fatalną pomyłkę. Helena, dowiedziawszy się od męża, że musi on jechać do Ameryki, obiecuje, że z nim pojedzie. Baron otwiera szeroko oczy: i do niego doszły pewne plotki, którym, choć zna charakter żony, mimowoli dowierzał po części. Jakto? i ona z dobrej woli chce jechać? „*Per Bacco!* szanuję cię!“ — woła w końcu baron i.... przyjmuje ofiarę żony. „Wiesz — dodaje — że gdyby nie to“.... i kończy, wskazując na *étui* z rewolwerem. Helena drżącą ręką dotyka broni nieledwie pieszczośliwie; ach! nikt nie wie, jak ją nęci w tej chwili chłodna i błyszcząca lufa.... Podczas gdy się to wszystko dzieje, Cortis, wyczerpany do dna gorączkową walką parlamentarną, nieustannem tłumieniem rosnącej wciąż miłości dla Heleny i swem ostatniem, cięższem, niż wszystko, postanowieniem, pada na stanowisku w Izbie, rażony, jak wyżej wspomnieliśmy, atakiem na mózg. Dzięki żelaznym siłom i szybkiemu ratunkowi, przychodzi wprawdzie do siebie, ale lekarze nakazują mu zupełny wypoczynek na wsi i usunięcie się chwilowe od życia parlamentarnego, oraz od towarzystwa matki. Zabiera go do siebie na wieś (naturalnie

w dolinę północno-włoską, podobną do Valsoldy) ciotka jego, a matka Heleny; zabiera również i córkę, nie domyślając się niczego między nimi. Helena jedzie, ale nikomu się nie przyznaje, że to ostatni może w jej życiu pobyt w domu matki; nie przyznaje się, bo wie, że w takim razie rodzina przeszkodziłaby jej wyjazdowi do Ameryki, ona zaś widzi i czuje, że wyjechać musi, jeśli nie ze względu na męża, to przez wzgląd na siebie samą, na Cortis'a.... I zaczyna się teraz prawdziwa *idylle tragique*. Cortis nie ukrywa już przed kuzynką swojej miłości, nie widząc w tem zresztą nic złego. „Dopiero gdy cierpię za to, co kocham — mówi do niej — czuję w duszy płomień życiodajny, jakby błogosławieństwo Boże, czuję całą mą godność człowieczą, całą moją siłę. W ten sposób kocham swoje ideały i swoją ojczyznę.... A skoro ciebie kocham, czy sądzisz, że może być dla mnie większe szczęście, niż kochać cię coraz silniej, wyrzekać się dla ciebie wszystkiego i teraz i zawsze, bylebym miał pewność, że i ty mnie kochasz i że twoja miłość jest równie silna i równie szlachetna, jak moja.... Tyś moja miłość, tyś moje życie, tyś moje szczęście nawet i w tych warunkach, nawet choć żyć możemy z sobą tylko jak dwa duchy i prosić Boga, aby nas kiedyś połączył, bo w to wierzę niezłomie“....

Czy podobnie idealny program dałby się w życiu urzeczywistnić? To wielkie pytanie; ale Helena go sobie nie zadaje. Jest ona jak skazaniec, któremu pozwolono używać ostatnich chwil przed śmiercią. Przepędza wśród cudnej przyrody nad brzegiem jeziora godziny, które mogłyby być nad wyraz błogie, godziny samotności z ukochanym człowiekiem, któremu ufa bez granic. Lecz w każdą chwilę, w każdą rozmowę, przechadzkę, w każde wspólne czytanie sączy się nieustanny jad tej tajemnicy, której ciężar dźwiga sama jedna; za każdym swobodniejszym ruchem spostrzega miecz zawieszony nad głową. Nie mając już nic do stracenia, wynagradza sobie przynajmniej tylomiesięczne panowanie nad sobą, puszczać swobodnie wodze uczuciu. A Fogazzaro do odmalowania tej nieszczęśliwej miłości zapożyczył błękitów italskiego nieba i zrobił z niej poemat, mimo idealnego zabarwienia, drgający życiem, prawdą i bólem. Helena codzien

w godzinie poczty przeżywa piekielne oczekiwanie wiadomości od męża, który, jak było umówione, ma ją wezwać wprost do portu, zkąd odpłyną i codziennie ludzi się nadzieją, że może się cokolwiek zmienić. Razem z nią ludzi się i czytelnik, oczekując jakiegoś zręcznie przeprowadzonego *deus ex machina*. Ale nie, powieść ta smutna jest, jak życie..... gdybyż życie było równie piękne, jak ona!..... i nic, nie nie zmieni biegu wypadków. Wśród sielanki, która coraz bardziej przybierać zaczyna cechy romansu, spada, jak piorun, list barona, z naznaczeniem parodniowego terminu do wyjazdu. Ale siły Heleny już są wyczerpane: brak jej energii do rozstania. Opowiada wszystko Cortis'owi i daje mu list męża ze słowami: „Zrobię wszystko, co ty zechcesz“.... Na tę sytuację obrusza się do żywego dusza polskiej czytelniczki. Polki, o których ktoś powiedział, że każda z nich jest urodzoną kasztelanką, przywykły w takich wypadkach opierać się na własnej godności; mało która zdobyłaby się może na chłodno na postanowienie tej miary, co decyzya Heleny, ale natomiast w chwili ostatniej każda znalazłaby więcej mocy ducha, niż owa Włoszka *appassionata*. Jakkolwiekby, dość, że Helena zdaje się w zupełności na Cortis'a, ten zaś zdobywa się na spokój i siłę za dwoje. Zebrawszy całą przytomność umysłu, rozważa położenie i decyzyę swą objawia Helenie jednym tylko słowem: *Addio*. Rozstają się więc, a nikt, prócz Cortis'a, niema pojęcia, jak daleko, ani na jak długo Helena odjeżdża. Cortis powraca do opustoszałej willi, do parku pełnego jeszcze jej obecności, powraca ze „śmiercią w duszy“—jak mówią Francuzi. Rzuca się na wilgotną trawę, rozpaczliwie woła imię ukochanej w tę straszną, niczem niezapełnioną pustkę, potem idzie do domu i wysyła telegram do Rzymu z oznajmieniem, że jest gotów do życia publicznego i cały się oddaje na usługi swego stronnictwa.

W przeciwieństwie do posępnej melancholii dawniejszych powieści Fogazzara, ta, podobnie jak *Dawny światek*, kończy się pobudką do życia, do walki.

Najobszerniejsze nawet streszczenie nie może dać pojęcia o wyrazistości, z jaką są odmalowani bohaterowie *Daniela Cortis*. Sam Cortis, któremu groziło niebezpieczeństwo

stania się uosobieniem nudnej cnoty, jest postacią tryskającą życiem. Dumny, porywczy, nerwowy, pozostawia on po przeczytaniu powieści wrażenie, że się go widziało w żywe oczy. I czarnooka Helena staje przed nami *tutta fremenda di passione*. Obie te postacie mają zakrój tragiczny, ani cienia w nich sentymentalnej elegijności; miłość odczuwają wszystkimi fibrami duszy i ciała. Tem silniejsze wrażenie sprawiają słowa wyrzeczone przez Cortis'a w wilię rozstania z Heleną: *Innupti sunt conjuges non carne, sed corde. Sic conjuguntur astra et planetae, non corpore, sed lumine. Sic nubent palmae, non radice, sed vertice.* (Cytat ze św. Pawła. „Zaślubieni są małżonkowie nie ciałem, lecz sercem. Tak się łączą gwiazdy i planety, nie przez materię, lecz przez światło. Tak się zespalają palmy nie korzeniami, lecz wierzchołkami“)... *Usque dum vivam et ultra....*

Daniel Cortis jest ze wszystkich powieści najpełniejszym wyrazem uczuć, poglądów Fogazzara i najbardziej zdaje się potwierdzać to, co niedawno powiedział, że pisze krwią serdeczną. Niestety, i ta powieść nie jest wolną od pewnych rozwlekłości, które jednak, dzięki ożywieniu, z jakim są pisane, tworzą szereg miłych epizodów.

We wszystkich powieściach autora przebija coraz inaczej wyrażona myśl zawsze tasama: pojęcie życia i miłości idealne, jako stadyum przygotowawczego do istności innej, lepszej, szczęśliwszej i pełniejszej. Podporządkowanie szczęścia osobistego innym celom szerszej natury, ta teoria moralna, zwykle tak sucha i doktrynerska, pod piórem Fogazzara nabiera nowego znaczenia, dzięki niezmiernej, gorącej szczeroci odczucia. Znać, że ten, który pisze, każdej chwili gotówby własnym życiem poprzeć swe twierdzenia. To właśnie odróżnia go zasadniczo od większości dzisiejszych pisarzy; jest on jednym z tych, coraz to rzadszych, którzy tworzą nie tylko wyobraźnią, lecz i sercem. W skutek tego nie może on pozostawić nieporuszonej w swych powieściach kwestyi, która mu leży najbliżej serca i która, zdaniem jego, stanowi jądro życia duchowego, to jest kwestyi religijnej. Zaczawszy od *Malombry*, której bohaterowie toczą na ten temat nieskończone dySSERTacje, a skończywszy na krótkich, lecz pełnych treści rozmowach Cortis'a, teńnących wiarą gorącą i głęboką,

przytacza on całe mnóstwo argumentów za i przeciw, a jako dowód ostateczny wydobywa tajne popędy duszy ludzkiej, która rwie się do wiary w cokolwiek. To wprowadzanie w życie zagadnień, zwykle nie wyzyskiwanych w przeciętnych powieściach, to użycie ich, jako motoru wszystkich prawie poruszeń duszy, nadaje sytuacjom psychologicznym bohaterów Fogazzara ogromną głębię. Ciekawym rysem jest, że zawsze prawie u niego mężczyźni są wierzący, kobiety nie. Najmniej tendencyjna, najbardziej liryczna ze wszystkich jego powieści, to *Tajemnica poety*, którąby można nazwać poematem prozą, gdyby nie rozwlekłość wielu ustępów.

Ta rozwlekłość, to największa wada Fogazzara, jako romansopisarza. Często psuje ona rysunek scen i postaci, które są kreślone z wybornym realizmem. Dzięki swemu zacięciu realistycznemu, stworzył Foggazaro całą galerię typów, pełnych życia i różnorodności. Obok ustępów, pełnych tkliwego i subtelnego liryzmu, który nigdy prawie w sentymentalizm nie przechodzi, umie on kreślić sceny tak dramatyczne, że możnaby je żywcem przenieść do teatru. Przyrodę maluje *con amore*, nastrój jej odczuwa chwilami nawet przesadnie i pełnemi dłońmi sypie krajobrazy świeże i poetyczne. Język jego bogaty, wyrazisty, barwny, a w dyalogach pełen subtelного dowcipu, nagina się do wszystkich jego wymagań, zdradzając prawdziwego poetę. Słowem, gdyby nie brak poczucia budowy, Fogazzaro mógłby stanąć w rzędzie najpierwszych powieściopisarzy.

Wartość jego jednakże, jako myśliciela, zasadza się nie na powieściach, które mu przyniosły największą sławę, lecz na rozprawach filozoficznych.

Rozpraw tych jest trzy i wszystkie są poświęcone obronie teorii Darwina i udowodnieniu pierwiastku religijnego, jaki w niej tkwi.

Najpierwsza z nich, nosząca ogromny tytuł: *Per un recente raffronto delle teorie di San Agostino e di Darwin circa la creazione*, zawiera zestawienie systemu Darwina z ideami filozoficzno-przyrodniczymi św. Augustyna. Fogazzaro, jako gorący zwolennik teorii Darwina i równie gorący przeciwnik wszystkich jej późniejszych interpretacji i naciąganych przeróbek (Büchnera, Haeckla *e tutti quanti*) wykazuje tutaj za

pomocą mnóstwa cytata, że teoria ewolucyi istniała już *in petto* od czternastu wieków w pismach genialnego Ojca Kościoła. W ten sposób zbija do gruntu ustalone przez tyle czasu fałszywe twierdzenie, jakoby teoria przemiany gatunków miała być w sprzeczności z wiarą. Zwraca uwagę, że wszystkie wielkie odkrycia naukowe, jak teoria antypodów, systemy Kopernika, Newtona i t. d., ulegały podobnemu losowi i bywały skazane, jako obrażające wierzenia chrześcijańskie. Fogazzaro przytacza całe ustępy z dzieł filozofów nowożytnych i porównywa je z odnośnymi wyciągami z pism Ojców Kościoła, wykazując, jak na dłoni, że zarówno jedne, jak i drugie, dowodzą tylko głębokiej i niesłychanie rozumnej celowości w układzie stworzenia.

Znalazszy w ten sposób dla swej teorii naukowe poparcie w pismach najznakomitszych myślicieli, odrzuca na bok wszelką pomoc i już tylko siłą własnej bogatej wymowy broni swych przekonań w prześlicznej rozprawie: *O piękno idei*. Broni zaś jej w sposób taki, że chcąc dać o nim pojęcie, trzeba by chyba przetłumaczyć całą broszurę, która jest zarazem i rozprawą filozoficzną i wybuchem czystego poetyckiego natchnienia.

W odczycie *O pochodzeniu człowieka i uczuciu religijnem* (*L'origine dell' uomo e il sentimento religioso*) Fogazzaro posuwa się dalej i próbuje rozwiązać kwestyę nieśmiertelności duszy w zgodzie z teorią ewolucyjną o pochodzeniu gatunków. Dowodzi on przede wszystkim, że słowa Pisma Św.: „Bóg stworzył“, stwierdzające poprostu fakt bez żadnych wyjaśnień, pozostawiają wiedzy swobodne pole do wykazania, w jaki sposób, po jakich szczeblach rozwoju odbywało się to stworzenie, które trwało całe wieki, objęte przez Biblię symboliczną nazwą „siedmiu dni stworzenia“. Nauka zatem, której ostatniemi słowem w tym kierunku była teoria Darwina, wyjaśniła powstanie ciała ludzkiego, zaczawszy od pierwszej komórki. Chodzi teraz o ducha, o tego ducha, którego materyaliści uważają za dorobek, zdobyty w ciągu wieków przez stopniowe udoskonalanie się instynktu. Fogazzaro staje na gruncie wprost przeciwnym, tłumacząc swoje twierdzenia w następujący sposób: „Zarodek ludzki od pierwszej chwili powstania przeznaczony na to, by

stać się żywym osobnikiem, musi dojść do pewnego momentu rozwoju; wówczas budzi się w nim świadoma dusza, podobnie, jak oko stopniowo rozwijane, niespodzianie nabiera własności widzenia“..... „Otóż — twierdzi on śmiało — w ten sam sposób słowo Boże wywołało z nicości ducha Adama, przygotowawszy uprzednio ciało jego i duszę za pomocą całego szeregu niższych stadyów rozwoju, stosownie do praw natury“..... „Z chwilą zjawienia się w świecie ducha świadomego, zamyka się jedna epoka i rozpoczyna się nowa, w której ewolucya przenosi się w dziedzinę umysłowe“. To jest najslabszy punkt w rozumowaniu filozoficzno-fogazzara; wymagałby on głębokiego i obszernego traktowania w sposób metafizyczny, w tym zaś odczycie potracony zbyt powierzchownie, nie wytrzymuje ścisłej krytyki naukowej. Ale roztrząsanie tej kwestyi odciagnęłoby nas za daleko. Dość, że ewolucya ducha ludzkiego przedstawia się Fogazzarowi jako postęp nieskończony, a w tym stopniu rozwoju, jakim jest dla niej życie ziemskie, ogromną rolę przypisuje on działaniu sztuki i poezji.

Temu zadaniu poezji poświęcił ostatni swój odczyt: *Le grand poète de l'avenir*, który miał przed rokiem (w marcu) w paryskiej *Société des conférences*. W odczycie tym wyraziwszy swoje poglądy na istotę i powołanie poezji, kreśli idealny wizerunek poety, jakiegoby się należało spodziewać po wieku XX i między innymi wyraża nadzieję, że stworzy on epopęę tej miary, co..... *Tadeusz Sopolica*.

We wspomnianych powyżej rozprawach i odczytach zarysowuje się jasno pogląd filozoficzno-społeczny Fogazzara i sposób, w jaki pojmuje on wszechbyt, jego zadania i objawy.

Co się tyczy teorii stworzenia, wyznaje on zasadę ewolucjonistów o pochodzeniu wszystkich żywych istot z jednego wspólnego początku. „Pojęcie tej olbrzymiej energii życiowej — powiada — która stopniowo, z pierwszej mgławicy wyprowadza istotę wolną i myślącą i posuwa ją coraz dalej na drodze postępowego rozwoju, to pojęcie odsłania nam taką piękność w duchowym ustroju wszechświata, że trudno i boleśnie byłoby się go wyrzekać. Ale niepodobna jest w życiu wznosić się do form coraz wyższych, nie walcząc z nieustannym oporem niższej przyrody. Wolna istota musi brać udział

w tej walce ciężkiej i bolesnej, a powinna to robić z wolnej i nieprzymuszonej woli“.

Poparcie tej teorii naukowej widzi Fogazzaro w dogmatach chrystyanizmu, o którym mówi, że „zasada chrześcijańska o przyszłym życiu, wynikającym z obecnego, lecz obdarzonym wyższymi własnościami, wskazuje nam w przyszłości dalszy i nieprzerwany ciąg procesu ewolucyi, odbywającego się tu na ziemi“. Chrześcianizm jest zatem religią ewolucyjną, „ewolucyjną jest również moralność chrześcijańska, która zaleca nieustanny wysiłek, celem oswobodzenia się z pętów zwierzęcości, krępującej istotę człowieka i przygotowania w sobie przewagi ducha“.

Tę przewagę ducha usiłuje Fogazzaro stwierdzić całą swą działalnością pisarską. Ale duch nie zabija w nim formy. Nie, szczęściem jest on zanadto artystą, zanadto kocha piękno we wszystkich jego objawach, zanadto ma w żyłach gorącej krwi włoskiej—choć ochłodzonej nieco powiewami śnieżnych Alp, u stóp których się wychował—aby mózg wysławiać ducha kosztem piękności zewnętrznej. Fogazzaro kocha się w poetyczności krajobrazów—ma nawet upodobanie w romantycznych dekoracyach—miłość odczuwa nietylko polotami duszy, ale każdym nerwem z osobna; potrafi też odmalować *la passione* z ogniem prawdziwego Włocha. Lecz w przeciwieństwie do rzeszy młodszych włoskich pisarzy, nazwanych *d'annunzieggianti* od swego przywódcy, Fogazzaro obstaje przy dawniejszych zapatrywaniach na miłość i widzi w niej nie źródło wrażeń nerwowych, lecz dotykalny symbol wyższej potęgi. „Zarówno poezya, jak i miłość idealizuje ciało ludzkie. Delikatna rączka kobieca jest dla poety i dla kochanka weicieniem barwy, życia, myśli, inteligencyi, uczucia, kobiecości; jestto dla nich jakby cudowny poemacik, jakby milezący wyraz duszy i w swej nie więdnącej piękności staje się symbolem wszystkiego, co trwa wiecznie młode“.....

Miłość tak pojęta staje się dla Fogazzara najpotężniejszym czynnikiem nieśmiertelności i potwierdza w jego umyśle pojęcie wieczności i Boga, ugruntowane i rozszerzone na podstawie wiedzy nowoczesnej. „My już nie wierzymy, że wszechświat został stworzony wyłącznie dla ludzkości, że

słońce, księżyc i gwiazdy są na niebie po to tylko, aby oświecać ziemię, że rośliny i zwierzęta istnieją jedynie w celu służenia człowiekowi. Natomiast jesteśmy przekonani, że w duchu twórczym wszechświata wszystko, co zostało stworzone, dąży samo przez się i w stosunku z innymi rzeczami do celów nieskończonych a rozmaitych, których zaledwie mała część jest dla nas widzialną. Wszystkie zaś te cele łączą się w jeden jedyny, a jest nim dążenie od niedoskonałości ku doskonałości.

„Tem twierdzeniem chcemy podnieść godność człowieka. Zamiast posągu z gliny ulepionego, odnosimy początek człowieka do pierwszej mgławicy i w imię tego samego prawa, które go wywołało z pierwotnej materii, obiecujemy mu nieskończony postęp w wieczności“..... Tu już nad myślącym górę bierze poeta i przed jego fantazją unoszą się widzenia owego nieskończonego postępu, w którym miriady światów po szlakach dróg mlecznych płyną w nieskończoność. A w tej nieskończoności wzrok jego natchniony widzi olbrzymią, świetlaną, nie dającą się objąć w swym ogromie postać Boga.

„W miarę postępów wiedzy — mówi Fogazzaro — duch ludzki pojmuje Boga co raz to większym, a nadewszystko zgola odmiennym od człowieka w sposobach działania. Ongiś patrząc na gwiazdy wierni wyobrażali sobie, że Bóg rządzi temi sferami w przestrzeni, jakby czarodziej, jak rodzaj człowieka, obdarzonego nadprzyrodzonymi władzami. Odkrycia Newtona, teoria ewolucji przedstawiają nam Boga zupełnie innego. Bóg ten, zamiast składać wszechświat z cząstek, tak, jak ludzie składają maszynę, rządzi wszystkim wiecznie i bez końca, rządzi za pomocą tej cudownej jedności i harmonii, którą nazywamy prawem natury. Ten porządek wszechświata związany prawem powszechnego ciężenia, wieczycie rozbrzmiewa w przestworzach, jak cudowna harmonia, i mocą ciągłej, nieskończonej ewolucji, staje się wyrazem nieustannym jednej myśli, staje się melodyą cudowną, która naprzemiany to wspaniała, to wezbrana uczuciem, odsłania nam blaski słońc nieśmiertelnych i promienie ducha ludzkiego, pełnego skarbów miłości. Prawdziwie to boska melodya, która nie błędząc nigdy, wzywa duszę ludzką do ideału; zwiastuje jej ona wieczyste wznoszenie się ku tej

absolutnej doskonałości, której człowiek nie osiągnie nigdy, lecz w którą wpatrywać się będzie przez całą wieczność“.... Prawdziwie, komu raz zaświeciły takie ideały, temu dziwić się nie można, że ukochał je na całe życie!

To też Fogazzaro stosuje je we wszystkim. Poglądy jego społeczne są tylko przystosowaniem idei Boga do warunków bytu ziemskiego. Badając stosunki we Włoszech, widzi on to, co zresztą daje się zaobserwować we wszystkich społeczeństwach europejskich, a mianowicie „wielki krok zrobiony naprzód na drodze ewolucji demokratycznej, ewolucji, która jest nieuniknioną w najbliższej przyszłości. W tym fermentie demokratycznym tkwi pierwiastek wzięty z chrystyanizmu“. Przed oczyma Fogazzara unosi się „świetlany, a możliwy do urzeczywistnienia ideał demokracji chrześcijańskiej, zgoła odmienny od despotyzmu cheiwej i egoistycznej większości, a który nam się zdaje zagrażać“.... Idealem tym, według niego, może być tylko taka sprawiedliwość, która dąży do równomiernego rozdzielenia *nie pożądań i apetytów, lecz obowiązków*. Tego rodzaju sprawiedliwość znajduje się oczywiście tylko w moralności chrześcijańskiej. Fogazzaro dowodzi, że „żaden rząd, żadna republika nie będzie w stanie rozwiązać przyszłych problemów społecznych bez współdziałania uczucia religijnego, które może być rozkrzewionem tylko przez kościół katolicki. On bowiem jedynie daje skuteczną pomoc w leczeniu nędz i ran społecznych, a to dzięki swej doktrynie, która wymaga ustępstw ze strony klas zamożniejszych dla tych, które cierpią“. Właśnie to przekonanie Fogazzara, że szczęście społeczne daje się osiągnąć jedynie na gruncie katolickim, przeraża najbardziej przeciętny patriotyzm włoski, który umie klasyfikować ludzi tylko na dwie kategorie: stronników Kwirynału i Watykanu. A jednak któżby mu nie przyznał słuszności, gdy przyczynę dzisiejszych zaburzeń socyalnych widzi w działaniu rozkładowem niższych pożądań, które, stopniowo uświęcone prawem, stały się niejako automatyczne, nieświadome. „Zastąpiły one dzisiaj poczucie tego prawa moralnego, któremu w świecie fizycznym odpowiada grawitacya ku wspólnemu środkowi ciężkości“.... Jak we wszystkim, tak i tutaj, Fogazzaro widzi występujące te same odwieczne prawa przyrody. Według niego, „państwo,

to żywa istota, to organizm, który się rozwija nieustannie i który może się utrzymać tylko dzięki rozumnemu współdziałaniu wszystkich wewnętrznych czynników“..... To rozumne współdziałanie najlepiej da się osiągnąć za pomocą demokracji katolickiej, ale którąby kierowała monarchia. Monarchia bowiem, „to jakby koło rozpedowe w mechanizmie konstytucyjnym, koło, które jest odpowiedzialne przed Bogiem i historią, a które musi się popsuć, jeśli nie będzie w ruchu. Ta potęga, oparta na współdziałaniu całego kraju, może i powinna być śmiała i pozostawiając zupełną swobodę rozmaitym opiniom, wziąć w swe ręce zagadnienia społeczne i przeprowadzać wszelkie reformy“.....

Reformy te jednak dadzą się przeprowadzić skutecznie wtedy dopiero, gdy celem ich będzie jakiś wyraźny i jasno określony ideał. „Ideału potrzeba nam koniecznie, on jest bowiem siłą tych, którzy chcą zburzyć wszystkie nasze instytucje; a my jakież ideały możemy im przeciwstawić?“..... Sobie przynajmniej osobiście nie potrzebuje stawiać tego pytania ów idealista. Sam zresztą jeszcze na początku swej kariery powiedział, że „o wartości przewrotów religijnych i społecznych, postępów nauki lub też wiedzy praktycznej, stanowi jedynie stopień wynikającego ztąd dobra moralnego. Osiągnięcie bowiem najwyższego możliwie dobra moralnego powinno być pierwszym prawidłem wszelkiej czynności ludzkiej, bo jest warunkiem jej sily i trwałości“.....

To dobro moralne, dostrojone do harmonii z całą niezmierną pięknością wszechświata, musi być oczywiście źródłem najczystszych natchnień ludzkości, źródłem, z którego wytrysnąć powinna sztuka i poezja. Fogazzaro, gdy się dostanie nareszcie w te krainy czystego ideału, które są jego ojczyzną duchową, buja w nich swobodnie i pełną pierśią czerpie natchnienie. „Zadaniem sztuki wogóle, a poezji w szczególności, jest wyzwolić w duszy ludzkiej boski pierwiastek i wesprzeć go w walce ze zwierzęcością, która drga jeszcze w naszej naturze, jako żywe świadectwo przeszłości. Ta zwierzęcość, walcząc w nas moralnym pierwiastkiem, usiłuje na swą stronę przeciągnąć inteligencyę, i jeśli jej się to uda, zamienia człowieka w jakąś istotę ni to zwierzęcą, ni ludzką, lecz gorszą od tych obu..... W sztuce nie chodzi

bynajmniej o podporządkowanie estetyki moralności, nie! chodzi o znalezienie jedności tak doskonałej, żeby nie było podobna odróżnić poczucia moralnego od poczucia artystycznego“..... Wobec tych zadań sztuki nowożytnej, tak, jak ją pojmuje Fogazzaro, jej ideał piękności musi być zupełnie odmienny od ideału piękności starożytnej. „Piękność grecka, to wyraz pogodnego i radosnego zadowolenia z siebie; charakterem jej jest spokój i ukontentowanie. Nasz ideał piękna jest cały przeniknięty inteligencją i poczuciem wytworności; wyraża on niepokój pragnień nigdy nie zadowolonych, bo dążących do wieczności“..... Oczywiście sztuka pojęta w ten sposób musi mieć charakter religijny i taką jedynie sztukę uważa Fogazzaro za godną spełnienia posłannictwa, które jej przypada w udziale. Szczęśliwy poeta, który tak pojmuje swoje zadanie, który czuje się powołanym do urzeczywistnienia takich ideałów!.....

„Kiedy my, poeci-spirytualiści — mówi Fogazzaro — słuchamy tajemnych głosów przyrody, kiedy czujemy prąd niewidzialnego życia, pełnego tęsknot i radości, prawie że ludzkich, i w szumie wiatru i wśród szmeru wód, w cieniu lasów, we wdzięcznych kształtach kwiatów, w dziwnych zarysach skał, w szczytach gór zadumanych, mówicie nam, że śnimy na jawie. Zapewne, ale nasze sny, podobnie, jak wszystkie inne, mają w sobie element prawdy. Nasza miłość do natury — o ile nie jest czezą retoryką — zdradza istotne pokrewieństwo między człowiekiem a tworam przyrody, pokrewieństwo, którego pracownicy usiłują dowieść dokumenty nauki, *podczas, gdy my, poeci, od wieków czujemy je sercem*. I choćby nam obce pozostały teorie ewolucjonistów i innych filozofów, to nasza własna, nieomylna intuicja wystarczyłaby, jako pewnik, że to ukochane przez nas piękno wszechrzeczy nie może być przeznaczonem na zaturę, że tajemne głosy przyrody, jej smutki i radości świadczą o pragnieniu i oczekiwaniu jakiejś lepszej istności. Gdyśmy z upodobaniem i ze czezą przedstawiali cierpienie, mówiliście, że nasza sztuka jest nieludzką. Oto zaś wiedza odpowiada wam w naszym imieniu: „Cierpienie zasługuje na cześć, bo człowiek nie byłby się nigdy wyzwolił z prochu, a cywilizacya z więzów barbarzyństwa, gdyby nie cierpienie“.

Gdy, opisując miłość, przedstawiamy zamiast złudnego widziadła, ożywionego gorączką niższych instynktów, to uczucie, które dąży do zespolenia dwóch duchów w jedno, gdy pomijamy nie stronę materyalną—bo to byłoby niedorzeczne—lecz stronę czysto zwierzęcą, aby natomiast opisywać te subtelne, nieuchwytnie wrażenia, które są wyłącznym udziałem dusz zakochanych, spotykamy się z sądem umysłów niezdolnych pojąć tego, co jest piękne i wzniosłe w życiu. Lecz skoro wszechświatem rządzi powszechne prawo wiecznego postępu, więc i z rodzaju ludzkiego powstanie—mniejsza o to, jak i kiedy—inny, wyższy gatunek. Jeśli jest instynkt, co raz to żywszy i wyraźniejszy w skali organizmów, który służy do wytwarzania miłości, to i miłość ludzka jest tylko przygotowaniem nowej, nieznannej formy uczucia, która prowadzi do coraz większego wysubtelniania materyi, do coraz silniejszej przewagi ducha.

„W przyrodzie jest wypisane wzniosłe prawo moralne, mocą którego z gatunku niższego wyższy może się tylko wówczas wyłonić, gdy mu dopomaga wysiłek w kierunku formy doskonalszej. Tam, gdzie zabraknie tego wysiłku, nastaje dekadencya i zwyrodnienie. Otóż, jeśli wielu artystów przedstawiając miłość, zwraca się wstecz, do zwierzęcości, my przeciwnie, dążymy naprzód ku tej wyższej doskonałości, której pierwiastki człowiek nosi w sobie. Gdy sztuka nasza, której żadne piękno nie może pozostać obcem, szuka natechnienia w pięknie duchowem, spotykamy się z zarzutem chłodnego pedantyzmu. Ale skoro prawa natury, mimo zwyrodnienia poszczególnych osobników, popychają wciąż rodzaj ludzki do chwili, w której poczuje on świadomość jedyne prawdziwego ideału moralnego, pewni jesteśmy, że toczymy walkę w dobrej sprawie. Kiedy, czując poezję przeszłości, która do nas przemawia pięknnością ruin, smutkiem dawnych pamiątek, zrywamy się na wezwanie wszystkich nędz społecznych i wypowiadamy skargi uciśnionych, nawołujemy sprawiedliwości—można nas nazywać utopistami; lecz, jeśli prawdą jest zasada powszechnej ewolucyi, myśmy tylko pierwszymi rzecznikami zmiany, która nadejdzie, aby święcić tryumf dwóch sił zjednoczonych, rządzących światem: siły zachowawczej i siły postępu“.

„Słowem, my dążymy do zaszczytnego stanowiska na czele tych zastępów Ducha Św., które walcząc, idą ku lepszej przyszłości i o których można użyć słów Heine'go:

Ihre teu'ren Schwerter blitzen,
Ihre guten Banner wehen.

Wielka idea, rozpowszechniona przez Darwina, tłómaczy nam wszystkie niezrozumiałe instynkty poetyckie, utwierdza nas w naszych sympatyach i nienawiściach, ukazuje nam w oddali spełnienie naszych ideałów, wskazuje nam posłannictwo wzniosłe, którego spełnić nie jest w stanie ani król żaden, ani naród cały; jakże żądać od nas, byśmy pozostali dla niej obojętni? Podczas, gdy inni pracują nad zdobyciem dla niej dowodów materyalnych, nam poruczono wykazać piękno i nieśmiertelność tej idei w rozwoju duchowym i intelektualnym ludzkości, w wyjaśnianiu przyszłych jej celów i przeznaczeń“... .

Fogazzaro sam za siebie przemawia chyba dość wymownie. Nam zaś po przeczytaniu tej apologii poety-idealisty i prawd, za które walczy, mimowoli przychodzą na myśl słowa Krasieńskiego: „Celem światów szlachetnienie“.....

Ze wszystkich poetów Zachodu, ten chyba najbardziej się zbliżył do ideałów, które przyświecały naszym wieszczom, najgoręcej odczuł to, w co oni wierzyli, najżywiej pragnął urzeczywistnienia w życiu poetów tego, co sławią pieśniami. To pokrewieństwo z najdroższymi dla nas duchami powinoby, jeśli nie co innego, być dla niego tytułem do naszej sympatii.

A. S.

F

24.053